

Świeczka zaniemogła: oparła się o szklaną ścianę wewnątrz lampionu ogrodowego, podkurczyła krawędzie, noga wygięła się nienaturalnie. Przypominała bezdomnych, których widuje się pod dworcem, i brakowało jej tylko przeżartej brudem dłoni wyciągniętej ku przechodniom. Nie można było jednoznacznie stwierdzić, gdzie ma przód, gdzie tył – srebrzystoszara powierzchnia nie nosiła żadnych oznak, które pomogłyby to zidentyfikować. Trudno uznać, czy opierała się o ściankę plecami, bokiem czy czołem – tkwiła tam krzywo jak wieża w Pizie, a domownicy mogli tylko przycinać jej stopę, by przywrócić ją do pionu. A ona za każdym razem, gdy wyszło słońce, topniała w zmęczeniu, w ukropie i w utraپieniu i chyliła się zawsze w tę samą stronę.

Za nią betonowy kamień, ucięta w połowie litera "E". Eutanazja? Egzaltacja? Emancypacja? Tego ostatniego o świeczce nie można było powiedzieć. Lampion, który stanowił jej więzienie, w którym doznawała tortur, tkwił pośród betonowych kamieni; było ich więcej. Wyglądało to tak, jakby wieki temu alfabetowa budowla rozsypała się na litery i przetrwały tylko samogłoski, dając niepełne świadectwo temu, że stało tu coś innego poza domem i lampionem. Erozja.

Od jakiegoś czasu codziennie zza wschodniego horyzontu wynurzał się opłatek niesiony niewidzialną dłonią kleryka, przechodząc stadia czerwieni, pomarańcza i żółci zgodnie z ruchem wznoszącym się – i w drugą stronę, gdy opadał. Kamil nie zawsze zdążył podnieść się na czas, by obserwować tę eucharystię, ale gdy już mu się to udało, stawał w oknie, gotów przyjąć opłatek na język, poczuć rozpuszczający się ogień, który następnie dostawał się do krwi i wypełniał go ciepłem. Przyciskał nos do szyby i czuwał w skupieniu. A gdy tylko pierwsze promienie wydostały się zza wschodniej kurtyny, wywalał jęzor i lizał szkło, zimną, bezsmakową taflę. Kiedy poranki stawały się cieplejsze, wychodził w samych slapkach i kapciach na taras. Wtedy czuł, że wypływające światło dotyka go bezpośrednio.

Część domu, w której spędzał większość dnia, taplała się w słońcu od pierwszych jego fal aż do spłynięcia za zachodnią linię. Kamil patrzył ze smutkiem na ten powtarzalny proces; zobojętnienie przyszło później. Słońce czerwieniało jak skóra w miejscu, gdzie coraz bardziej pęcznieje nieokreślona grudka, aż pękało i zalewało niebo krwią. Kamil rozdrapywał swoje strupy i pryszcze, ale nigdy nie miało to takiego efektu. Nacinał i naciskał skórę w tych miejscach, i pozwalał rosnąć bąblom krwi jak małym wschodzącym słońcom, którym nie dane było osiągnąć innej palety barw.

Na jego ciele zostawały blizny, a niebo potrafiło się z nich oczyszczać. Tylko gwiazdy i regularne wizyty księżycy były dowodami na to, że słońce przeszło swoją wędrówkę, ale to jedynie dla tych, którzy łączyli ich istnienie z istnieniem samego słońca. Gdyby pod nocnym niebem postawić człowieka, który o słońcu nic nie wiedział, nie byłby w stanie określić, że przebyło ono drogę ze wschodu na zachód.

Kamil całe dnie spędzał w ogrodzie, przed nim stał ten lampion, sauna dla świecy, i nigdy nie przyszło mu do głowy, by wywabić ją z opresji. Być może obserwacja tego, jak siania się u jego stóp, sprawiała mu satysfakcję. Pokazywała, że są przedmioty i istoty słabsze od niego. Może widział w tym jakąś poddańczość, dzięki czemu nabierał przekonania, że ma siłę sprawczą: decyduje, kto dziś pójdzie na pierwszy ogień, a kto pozostanie przy życiu do następnego razu.

Siedział i beznamiętnie oglądał ruchy natury. Uginające się drzewa wciąż stawiały opór, ale w pojedynkę nie były takie silne: zawsze w polu znalazło się samotne, które pozwalało łamać sobie kręgosłup i odejść spektakularnie, choć często bez świadków. Żdźbła trawy kładące się pod stopami w swej służalczości,

czasem powracające do pierwotnego kształtu, jeśli stawiający krok był dlań litościwszy.

Najbardziej przerażały go owady. Był w stanie zgnieść je pod butem lub zmiażdżyć dłonią, ale tu nie chodziło o to. Były w nadmiarze i głowił się, skąd ich tyle przybywa, jakim cudem zdołają pomieścić się w tym świecie przepelnionym ludźmi, spaliniami. Świecie poddawany regularnej wycince, chemicznym zalewom. Kamil nie miał dla robactwa litości, ale ta litość podszywana była ciągłym lękiem. Miewał wizje, w których osacza go rój, tak że on staje się jego nieodłączną częścią, aż znika.

Dlatego w tym nadmiarze wolnego czasu chodził po ogrodzie i rozsypywał proszki, wylewał truciznę, zastawiał pułapki i z zadowoleniem patrzył, jak osy, mrówki, szerszenie lgną do śmiertelnej słodyczy. Pochylał się nad mrowiskami w bezpiecznej odległości i obserwował robotnice zbierające białe ziarenka i niosące je z nabożeństwem do swego królestwa. Ilekroć wyobrażał sobie królową-matkę, widział rozdęte do granic możliwości cielsko, dla którego mrówki wykopały osobną podziemną pieczarę i która potrzebuje więcej białego pyłu, by strącić jej koronę, zepchnąć ją z tronu.

Myślał tak o sobie samym, gdy leżak pod nim ugiął się, aż trzeszczało. Myślał o tym, żeby mieć odrębne miejsce, izolatkę ze wszystkimi dobrami, których pragnął, a które wcale nie były mu do życia potrzebne. Wpuszczałby tam ludzi, gdyby tylko tego zapragnął, albo odprowadzał ich z kwitkiem. To on decydowałby, kto, kiedy i w jakiej liczbie przebywa w jego towarzystwie. Pożerałby ich w wiecznym nienasyceniu. Nosiliby go grupami i załamywali się pod nim, a on swym tłustym odwłokiem przyduszałby każdego bez mrugnięcia okiem.

Dlatego bez żalu patrzył, jak świeca przed nim zamiast płonąć kurczy się z dnia na dzień. I nawet wtedy, gdy Radek wybiegał z domu z nożem i ciął ją od spodu, by nadać jej choć trochę bardziej pierwotny wygląd, Kamil wiedział, że każdy taki czyn przybliża ją do nieuchronnego pogrążenia się w niebycie.

Słońce płonęło, świeca topniała, a on marzył i wrastał w krzesło. Był jak paznokcie i czuł, że pewnego dnia to jego będzie trzeba wyciąć, bo przecież żadne istnienie nie trwa wiecznie, a przyroda też sobie radzi z takimi naroślami. Dodawał sobie otuchy myślą, że póki co to on jest tu najsilniejszy i wprowadza porządki po swojemu. Ale podskórnie jednostajne tętno wybijało w dwóch sylabach to jedno słowo: moment, moment. Że zaraz to się skończy, że potrwa to tylko chwilę?

A gdy zwierzał się z tego Radkowi, ten mówił mu, że moment oznacza chwilę tu i teraz. Że to moment jest największą w skali szczęścia jednostką mierzoną dodatkowo czasem trwania. Kamil przeczył, umysł mu chłodził, serce zwalniało i wybijało wtedy tylko "już". Już. Już. Już.

Kiedy kładł się wieczorem do łóżka, a Radek obok już chrapał, dzięki czemu była pewność, że najintensywniejsze myśli nie wyrwą go ze snu, Kamil układał w głowie scenariusze, jak pozbyć się tych, którzy w jego mniemaniu stanowili największe niebezpieczeństwo, bo byli silniejsi od niego. Donikąd go jednak te przemyślenia nie wiodły. Zaciętrzewiał się jedynie bardziej, chęć zemsty gorała i pęczniała w nim jak wyjątkowo uporczywa niestrawność, wobec czego on sam puchł z niewysłowionej złości, której ujścia trudno było wypatrywać.

Myślał o morderstwach, o łapaniu tych wszystkich z otoczenia Radka za kudły i szarpania ich tak długo, aż odpadną im głowy jak szmacianym lalkom. Myślał o nożach, które czekały w stojaku w kuchni na to, aż jego dłoń pochwyci je, wybierze najdłuższy i najostrzejszy, i wsunie w ciało tych chłopców i dziewcząt, które nie odstępowały Radka na krok. Wyobrażał sobie, jak trzyma ich pod wodą, aż częstotliwość bąbli na powierzchni maleje. Wyobrażał sobie, jak spycha ich z wysokości i patrzy, jak ciała roztrzaskują

się jak szkło.

Myślał o tym i przekonywał sam siebie, że żadna siła nie wyzwoliłaby ich z przeznaczenia, jakie chciał nadać ich istnieniom. Kruchość uśmiechów, delikatność obojczyków i miednic, słabość powłoki. Jakże łatwo można było sprowadzić ich do niczego. Jakże trudno było to uczynić.

Uzmysławiał sobie wtedy, że złamany lata temu kręgosłup stał się jego prawdziwą siłą i przygarbione plecy nie są osłoną przed atakiem, a oznaką noszenia ciężaru, który sukcesywnie powiększa się z każdym rokiem.

Zamykał oczy ze świadomością nieuchronności wszystkiego, co go otaczało, a zwłaszcza samego siebie. I pozwalał, by sen ogarnął go i pozwolił wytrwać do rana, kiedy znów będzie mógł oglądać konającą świecę, pozbawiane jednym ruchem dłoni robale, łamane łodygi. I jeszcze w półjawie przypominał sobie, że zza wschodu znów wysunie się opłatek, a on będzie wystawiał język jak wysuszony do cna kwiat. I wydawało mu się, że może i jest takim kwiatem, jednym z tych wielu, które wiosną kołyszą się na gałęziach pobudzonych do życia drzew, i że tylko jakaś nienazwana siła, od której nigdy nie mógł być potężniejszy, nie pozwala mu otworzyć kielicha, przekształcić się w soczysty owoc.

Zasypiał, a świeca w ogrodzie literowała porzucone kamienne bloki i powtarzała epitafium.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ks-hp, dodano 15.06.2020 20:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.